

CÓŻ PO SOCJOLOGII...¹

Izabella Bukraba-Rylska
Uniwersytet Warszawski

Chciałam zacząć od tego pełnego rezygnacji westchnienia, ale zacznę inaczej. Przede wszystkim serdecznie pogratuluję Państwu powziętych decyzji: po pierwsze – kontynuowania nauki na poziomie studiów magisterskich, a po drugie – realizowania swoich zamierzeń właśnie w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Żaden bowiem z tych kroków nie jest oczywisty w „czasie marnym”, to znaczy takim, gdy o wykształceniu mówi się wyłącznie w sensie zdobywania kwalifikacji zawodowych, a kierunki humanistyczne i społeczne piętnowane są jako te, które rzekomo skazują ich absolwentów na poważne trudności w odnalezieniu się na rynku pracy. Tak jakby misją kształcenia uniwersyteckiego miało być dostarczanie siły roboczej dla gospodarki! Ani to słuszny, ani ambitny pomysł. Szczególnie w odniesieniu do polskiej gospodarki. Przecież coraz częściej porównywana jest ona do czegoś w rodzaju drugorzędnej montażowni dla krajów wyżej rozwiniętych. A w tak pomyślanym zapleczu usługowym istnieje zapotrzebowanie nie na innowatorów o otwartych umysłach, lecz na przyuczoną do konkretnych zadań, tanią siłą roboczą, która będzie sprawnie obsługiwała technologie i wytwarzała produkty nowatorskie i dochodowe kilka dekad temu, ale teraz zdecydowanie już znajdujące się w schyłkowej fazie ich „przesunięcia przestrzennego” – z centrum systemu światowego na jego peryferie. O tych procesach pisze m.in. Beverly Silver w swojej pracy *Globalny proletariatus* (Silver 2009) a wnioski z tej lektury nie są dla nas pocieszające. Akceptowanie roli globalnego proletariusza, nawet w jego wyższych formach (np. prekariusza), byłoby więc dowodem nadmiernej skromności i nawet nie wiem, czy godnej pochwały.

To, że nie wyrażają Państwo zgody na takie degradujące zaszeregowanie, wynika jasno z faktu, że teraz siedzicie tu, w sali wykładowej Instytutu

¹ Tekst stanowi treść wykładu inauguracyjnego rok akademicki dla studentów socjologii studiów drugiego stopnia (2.10.2014).

Socjologii. W ciągu najbliższych paru minut postaram się wskazać jeszcze kilka konsekwencji, jakie dla Was, dla polskiej nauki i dla polskiego społeczeństwa powinny płynąć z tej decyzji. Konsekwencje te będą sformułowane nie w języku chęci, jakichś tam młodzieńczych mrzonek czy nierealnych planów, lecz w języku słusznych oczekiwań, w pełni uzasadnionych nadziei, a nawet niezbywalnych praw, a więc w języku roszczeń. Od wielu lat określenie to w dyskursie publicznym (a nawet naukowym) jest używane w sensie zdecydowanie negatywnym, więc najwyższy czas przywrócić mu właściwe znaczenie.

W okolicznościach, jakie tu zaledwie zasygnalizowałam, odmowa uznania studiów wyższych za rodzaj kursu przysposobienia zawodowego to pierwszy powód do dumy. Następny – to rezygnacja z zadowolenia się pozycją podrzędnego wykonawcy, posłusznego trybika dopasowanego do maszynerii zaprojektowanej przez kogoś innego i nierzadko gdzie indziej. Absolwent uniwersytetu opuszczający jego mury z dyplomem magistra nie jest od tego, by podporządkowywał się istniejącej rzeczywistości, ale od tego, by był w stanie tę rzeczywistość zmieniać. W przeciwnym razie trzeba by naprawdę zacząć mówić o „końcu historii”, czyli o zapanowaniu wiekustego porządku w tym kształcie, jaki niekoniecznie musi budzić entuzjazm wszystkich. Sugerując tego rodzaju motywacje, mam nadzieję, że Państwa planom (nawet tym jeszcze nie do końca skryształizowanym) towarzyszy również gotowość wyegzekwowania wszelkich warunków niezbędnych do realizacji takich zamysłów. A oznacza to, ni mniej, ni więcej, że mają Państwo pełne prawo do tego, by wykorzystać ten wydłużony o dwa lata (a może i o kolejne cztery?) pobyt w szkole wyższej zgodnie z autentyczną i antyczną ideą *schole*, czyli czasu wolnego – wolnego od trosk i obowiązków w pełni dorosłego życia. Czas ten powinien być przeznaczony – z jednej strony – na formowanie własnej osobowości, a z drugiej – na bezinteresowne, autoteliczne, nie zaś instrumentalne, zajmowanie się nauką.

Przy czym pragnę Państwa od razu uspokoić: nie oznacza to w żadnym razie konieczności przykrych wyrzeczeń, rezygnacji z przyjemności czy jakiejś szczególnej ascezy, a więc umartwiania się i bolesnych poświęceń. To, do czego Was namawiam, to abyście potraktowali poważnie określenie *libido sciendi*. Tak, nie chodzi tu o powierzchowną ciekawość czy potrzebę dysponowania jakimś zakresem informacji przydatnych do czegoś tam, o dorwanie się do poręcznej „skrzynki z narzędziami”, by móc dowolnie majstrować przy problemach społecznych bądź na czyjeś zamówienie je analizować, ale o prawdziwe pożądanie wiedzy. „Na początku doznajemy oczywiście zaledwie błahego zadowolenia: zadowolenia tym większe-

go – jak zapewnia brytyjski filozof Roger Scruton w książce pod mało filozoficznym tytułem *Pije, więc jestem* (Scruton 2011: 34) – im bardziej ta wiedza jest nieistotna dla świata zewnętrznego z jego nudnymi kryteriami przydatności, produktywności, pożytku”. „A jaki jest pożytek z pożytku?” – można by zapytać za Lessingiem. Potem przychodzi pora na przyjemność: na przykład obcowania z danym tekstem (co zachwala z pewną dozą perwersji Roland Barthes) albo choćby z samą książką, którą można nie tylko czytać, ale też dotykać, wachać, głaskać... Nieprzypadkowo dobrze skompletowane biblioteki Francuzi porównują do haremów. Wreszcie pojawia się prawdziwa rozkosz: „w zetknięciu z nagim ciałem idei myśl doznaje rozkoszy bardzo podobnej do rozkoszy miłosnej – przekonuje Ortega y Gasset w swoich *Medytacjach o Don Kichocie*. – Dzieje się tak, ponieważ, o ile w seksie chodzi o rozładowanie napięcia emocjonalnego, to tu dochodzi do erupcji potencjału intelektualnego” – tłumaczy Gasset (2008: 41). Czy nie jest to realizacja najbardziej podstawowego imperatywu kategorycznego kondycji ludzkiej? Proszę przypomnieć sobie historię Adama i Ewy – to przecież głód wiedzy, a nie pociąg seksualny sprawił, że okazali Bogu nieposłuszeństwo. Nie zostali oni wygnani z raju za pragnienia cielesne, ale za pragnienie poznania, przy czym pierwsza objawiła je kobieta. Nie jestem feministką, jeśli już, to raczej mulierystką, ale może faktycznie lepiej byłoby dla ludzkości, gdyby Ewa sama zjadła to jabłko, zamiast dzielić się nim z Adamem?

Skoro zatem roztoczyłam już przed Państwem wizję prawdziwych ogrodów Epikura, w następnej kolejności trzeba zapytać, czy dzisiejsze uniwersytety przypominają jeszcze pod jakimś względem takie przybytki. Otóż obawiam się, że w coraz mniejszym stopniu. Z koncepcji Bourdieu „pola akademickiego” (Bourdieu 1984) wiemy, że obecnie w środowiskach naukowych liczy się nie tylko „kapitał właściwy”, czyli wiedza, dorobek, autorytet, ale także „kapitał doczesny”, wynikły z administracyjnego usytuowania w różnego rodzaju ciałach, komisjach i gremiach, które są powoływane nie tyle z powodów merytorycznych, ile biurokratycznych. Najwyraźniej nie chodzi tu o to, by pracownicy naukowcy sami się organizowali, ale raczej o to, by byli organizowani dla wygody panujących nam niemilosiernie urzędników. Językiem socjologii można by to wyrazić następująco: proces ten w Europie przybiera postać kolonizowania świata akademickiego przez struktury państwowe, a więc przez „pole polityczne”, natomiast w Ameryce główne zagrożenie płynie ze strony „pola ekonomicznego”. Do obrazu nakreślonego w połowie ubiegłego wieku przez Millsa nie trzeba właściwie nic dziś dodawać (Mills 2007). Niestety w Polsce po kilku latach

terapii unijną biurokracją ostatnie regulacje w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego otwierają „pole akademickie” na wpływy biznesu. Zamiast klasycznych przedmiotów i zajęć oferowanych na uczelniach mają nierzadko wystarczyć szkolenia odbywane w zakładzie pracy. Naturalną konsekwencją tego postanowienia jest kolejne rozstrzygnięcie przewidziane w ostatniej nowelizacji ustawy: pracowników naukowych w roli wykładowcy akademickiego zastępować będą przyjmowani na ich miejsce eksperci, szkoleniowcy i audytorzy z firm, koncernów i korporacji. Co ma to wspólnego z autonomią uczelni wyższej? Otóż nic. Natomiast można być pewnym, iż tego rodzaju ustalenia zaowocują zjawiskami, o których pisał Mills (menedżerskie manipulacje, liberalna praktyczność i bezwzględne wymuszanie przystosowania), o których teraz piszą Sheldon Krimsky („nauka skorumpowana”) (Krimsky 2006) albo Frank Furedi (daremnie szukający prawdziwych intelektualistów) (Furedi 2008).

Ze smutkiem należy skonstatować, iż w tych mało chwalebnych decyzjach, a następnie w ich wdrażaniu, mają swój udział także co poniektórzy pracownicy nauki. Albo przez bierne zaniechanie i oportunistyczne podporządkowanie się (czyli takie postawy, które bodajże Stanisław Ossowski nazywał „nieugiętym konformizmem” – cudowny oksymoron!), albo przez czynny współudział. To zaś wzmiankowany już Furedi nazywa po prostu „kolaboracją z systemem” (2008: 114). Chociaż bowiem uniwersytet stał się jedną z najdokładniej prześwietlanych instytucji społecznych, gdzie każdy aspekt – począwszy od nauczania i prowadzenia badań, przez postępy studentów, aż do trybu ich oceniania – podlega systematycznej kontroli, to państwo przezornie ukrywa zasięg swojej interwencji, powołując rzekomo neutralne zespoły złożone z osób posiadających tytuły naukowe. To dzięki takim reżimowym kolaborantom i klikom resortowych filistrów mnożą się dziś na uczelniach konsultanci do spraw rozwoju edukacji, eksperci od zapewnienia jakości kształcenia, przeróżni audytorzy i edukatorzy. To dzięki nim wszystkim kontynuowane jest dzieło niszczenia uniwersytetu, co kilka lat temu profesor Jadwiga Staniszkis określiła jeszcze dobitniej. To przez nich pole akademickie paraliżują dziś procedury, punktacje i parametryzacje, kryteria naukowe ustępują przed zasadami „bibliometrii ilościowej”, zaś naukowe instytucje zamieniają się w „manufaktury makulatury”, jak to celnie ujmuje profesor Tomasz Szlendak.

Dlaczego Państwu o tym mówię i psuję atmosferę pierwszego (a właściwie drugiego) dnia roku akademickiego swoim gderaniem? Bo nie jest to tylko problem nasz – pracowników uczelni, ale także (a chyba nawet przede wszystkim) Wasz – studentów. Musicie bowiem rozważyć dokład-

nie i odpowiedzieć sobie na pytanie: czy chcecie, by dzisiejszy uniwersytet zamieniał się z instytucji kształcącej elitę społeczeństwa w przedsiębiorstwo produkujące „uległych obywateli” i „klientelę władzy” – przed czym przestrzegal Michel Foucault – czy może jednak wolicie, by uniwersytet pozostał miejscem, gdzie profesor nie uczy jakiegoś tam przedmiotu (według najnowszej nomenklatury: CPS-u, WMS-u czy TABS-a), lecz – na co wskazuje etymologia – „występuje naprzód” i „wypowiada publicznie swe poglądy naukowe”. I dlatego właśnie nazywa się „profesorem” (od łacińskiego *profiteor*). A student nie „uczy się”, nie „zakuwa”, a tym bardziej nie „gromadzi punktów ECTS”, lecz zajmuje się nauką. I dlatego przysługuje mu zaszczytne miano *studiosus*. Dla mnie jest to pytanie czysto retoryczne.

Skoro rozważyliśmy już właściwy cel studiowania, a następnie nakreśliliśmy właściwy kształt instytucji służącej temu celowi, spróbujmy podobnym trybem odnieść się do trzeciego z zapowiadanych na początku wątków, a mianowicie do zadań socjologii i jej związku z tym, co bada, a więc ze społeczeństwem. Chciałabym się tu skoncentrować na polskiej socjologii i na polskim społeczeństwie. Nie ulega oczywiście wątpliwości, że każda jednostronność jest błędem i szkodliwym ograniczeniem, a więc w toczonym od dawna w polskiej humanistyce sporze między „sarmatyzmem” a „kosmopolityzmem” nie ma sensu upierać się przy którymś z krańcowych stanowisk. Niemniej, ponieważ w ostatnich latach zbyt duży, w moim przekonaniu, nacisk kładziono na to drugie kosztem tego pierwszego, postanowiłam zaakcentować tu znaczenie rodzimego kontekstu. Jak wiadomo, wahadelko tym bardziej wychyla się w jedną stronę, im bardziej wychylało się w stronę przeciwną poprzednio.

Powiedziałam przed chwilą: „w ostatnich latach”, ale nie jest to właściwie prawda. Oczywiście, w ostatnich latach poddawani jesteśmy jako środowisko naukowe szczególnym naciskom, by włączać się w światowy obieg, jeśli chodzi o nasze dyscypliny. Nietrudno dostrzec założenie kryjące się za takim wymaganiem. Zakłada się mianowicie, iż jesteśmy dużo gorsi od naszych zagranicznych kolegów po fachu, zapóźnieni w rozwoju, ograniczeni w swojej partykularności i peryferyjności – jednym słowem: mamy tu do czynienia z prymitywnym, unilinearnym, eurocentrycznym ewolucjonizmem, który (jak wiemy choćby z podstawowego kursu historii myśli społecznej) zawsze skutkował procesami kolonizacji. Tym razem sprowadza się to do zachęt publikowania w pismach z tzw. listy filadelfijskiej, uczestniczenia w badaniach międzynarodowych czy nawet zarzucenia prowincjonalnej polszczyzny i wyrażania swych myśli w uniwersalnym slangu współczesnego zglobalizowanego świata, czyli po angielsku. A prze-

cięż, jak to pisał Astolphe de Custine w swoich listach z Rosji: „odrębność myśli, bardziej niż się to przypuszcza, zależy od nieskazitelnosci języka narodowego” (Custine 1995: 393). To cenna myśl; być może znaczna część naszego braku oryginalności i innowacyjności bierze się właśnie stąd, że tak fatalnie traktujemy nasz język narodowy? Na szczęście, przynajmniej ta ostatnia sugestia resortu spotkała się z reakcją najwybitniejszych badaczy, którzy – jak np. prof. Michał Głowiński – podkreślają, że w dyscyplinach humanistycznych dyskurs naukowy musi być osadzony w języku etnicznym, kumulującym tradycje i tożsamość kulturową, a przeciwnie oczekiwania są czystym nonsensem. Ale czego można oczekiwać od urzędników! Przypomina się tu autentyczna sytuacja sprzed kilkunastu lat, kiedy to grono naukowców udało się do ministerstwa z propozycją doprowadzenia do końca publikacji dzieł Ludwika Krzywickiego. Po wysłuchaniu ich argumentów dyrektor któregoś z departamentów odparł: nawet mnie to zainteresowało, ale najlepiej będzie, jeśli pan Krzywicki sam pofatyguje się w tej sprawie do ministerstwa.

Tyle, jeśli chodzi o poważnie zagrożone prawo do używania w polskiej nauce ojczystego języka. Można jednak mieć też zastrzeżenia co do pozostałych dwu zaleceń. Dlaczego? Tak się jakoś najczęściej składa, że wchodząc w skład międzynarodowych zespołów, polscy badacze muszą nie tylko przekładać swoje myśli na angielszczyznę, lecz także akceptować zastane schematy badawcze, założenia i metody. Przypada więc im najczęściej rola podwykonawców zmuszonych do prezentowania nieraz bardzo specyficznych polskich problemów w siatce pojęciowej ukształtowanej na podstawie innych realiów, a więc niezgodnie z wymogami teorii „ugruntowanej”. Tym samym spełnia się zapowiedź jednego z polityków – Waldemara Kuczyńskiego – który u progu transformacji stwierdził, że w związku z marnym finansowaniem polskiej nauki (a na lepsze, jak widać, nie ma co liczyć) zadaniem polskich naukowców będzie jedynie testowanie koncepcji wymyślonych przez ich – nie wiem, czy bardziej zdolnych, ale na pewno lepiej opłacanych – kolegów na Zachodzie, czyli zajmowanie się nie wymyślaniem teorii, lecz wyszukiwaniem empirycznych dowodów dla ich potwierdzenia.

Co się zaś tyczy słynnej listy filadelfijskiej, to sędzę, iż po tzw. aferze Sokala, dzięki której okazało się, ile to modnych bzdur publikują czasopiśma figurujące na tej właśnie liście, a jeszcze bardziej dzięki szczegółowym analizom demaskującym pozorną „światowość” i pozorny tylko „światowy poziom” zamieszczanych tam tekstów, powinno wreszcie nastąpić jakies otrzeźwienie. Polecam tu Państwu uwadze np. tekst Grzegorza Zabloc-

kiego opublikowany niedawno w kwartalniku Polskiej Akademii Nauk – „Wieś i Rolnictwo” (Zablocki 2014), gdzie autor zdecydowanie, ale w sposób naukowo udokumentowany, rozprawia się z mitem „światowej socjologii wsi”, rzekomo kulturowanej na łamach najważniejszych i najwyższej punktowanych periodyków z tej dziedziny. To pouczająca lektura i dobrze byłoby, aby także w zakresie innych subdyscyplin socjologii wykonano podobną, ze wszech miar pożyteczną robotę.

Jak mają się wszystkie te dotychczasowe uwagi do projektu polskiej socjologii, w dodatku tej skoncentrowanej na polskim społeczeństwie – projektu, dla którego chciałabym Państwa pozyskać po to, byście zwrócili swoją uwagę na tak zorientowane tematy właśnie teraz – w trakcie ostatnich dwu lat poprzedzających uzyskanie tytułu magistra. Wcześniej opatrzyłam już zastrzeżeniem sformułowanie mówiące o zaniedbaniu tej lokalnej perspektywy „w ostatnich latach”, i słusznie, gdyż Bogiem a prawdą należałoby tu mówić o notorycznym niedocenianiu i zaprzepaszczaniu rodzimego dorobku przez kolejne generacje polskich socjologów. Tak się bowiem składa, iż przerost ambicji kosmopolitycznych cechuje polską socjologię od zawsze. Już w 1917 roku Jan Stanisław Bystron ubolewał: „socjologia polska nie ma rozwoju historycznego, lecz wyłącznie logiczny: autorzy polscy znajdują się zawsze w żywym kontakcie z teoriami obcymi, nie znając przeważnie poprzednich prac polskich. Nie ma tu ciągłości historycznej” (1995: 540). Niewiele później, bo w 1920 roku, Franciszek Bujak, wprawdzie historyk gospodarczy, ale nie byle jaki, bo dał polskiej socjologii wsi pierwszą klasyczną monografię wioski Żmiąca (w tej samej wsi po pięćdziesięciu latach pojawił się prof. Zbigniew Tadeusz Wierzbicki, a po kolejnych pięćdziesięciu – dr Michał Łuczewski), otóż tenże Bujak wypowiedział się bardzo podobnie: „więcej cenimy i lepiej znamy twórczość naukową obcą niż własną narodową”, a przecież „nie wystarcza korzystać wyłącznie z nauki innych narodów. Trzeba ją koniecznie hodować samemu u siebie. Społeczeństwo, ograniczające się do czerpania z cudzych źródeł, nie mogłoby rozwijać swojej indywidualności, ale przeciwnie – musiałoby się stawać częścią swego duchowego żywiciela i wychowawcy, musiałoby patrzeć na świat i na siebie samo obcymi oczyma” (1976: 230).

Co też poniekąd obserwujemy, zapoznając się z pracami powstałymi w minionym ćwierćwieczu, a poświęconymi polskiej transformacji. Uderza w nich inklinacja polskich socjologów do zajmowania się bytami wyimaginowanymi, wręcz urojonymi. Rozpisują się oni o polskiej klasie średniej lub o społeczeństwie obywatelskim, choć (jak sami przyznają) zjawiska te są raczej modelem przejętym z zupełnie innej czasoprzestrzeni i występują jak

na razie w ilościach śladowych bądź wcale, za to zjawiska i grupy społeczne, których mamy pod dostatkiem, np. chłopów – piętnują jako szkodliwe przeżytki, nazywają „balastem”, którego należy pozbyć się jak najszybciej, i ochoczo nominują do „emigracji ostatejnej”: niech te dwa – trzy miliony zbędnych mieszkańców wsi wyjadą gdziekolwiek za granicę i już tam pozostaną, bo tylko przeszkadzają nam się rozwijać. Niespełna sto lat temu inni wybitni badacze – Karl Binding i Alfred Hoche – posługiwali się bardzo podobnym określeniem – *ballastexistenzen* – i też postulowali, by wyrzucić za burtę osoby uznane za bezużyteczne po to, aby cały naród mógł szybciej się modernizować... W zdecydowanej większości kończące się takimi konkluzjami teksty pisane są z perspektywy wyżej rozwiniętych krajów Zachodu i nie uwzględniają w należyty sposób polskich uwarunkowań i historii. Nie ulega wątpliwości, że nauki społeczne uprawiane tak jednostronnie, to znaczy korzystające tylko z jednego, „kosmopolitycznego” skrzydła i w nader ograniczonym zakresie używające drugiego, „sarmackiego” ani nie wzniosą się wysoko, ani daleko nie polecą.

Ale mógłby ktoś zadać pytanie: czy w ogóle mamy jakieś godne uwagi „skrzydło sarmackie”, to znaczy własny, oryginalny dorobek dorównujący zachodnim osiągnięciom? Już samo zadanie takiego pytania zdradza istotne braki w humanistycznej edukacji, więc odpowiemy na nie, sięgając tylko do paru przykładów. Światowej sławy Arnold Toynbee, badacz cywilizacji, a po nim Samuel Huntington, autor głośnej koncepcji „zderzenia cywilizacji”, korzystał z inspiracji niejakiego Feliksa Konecznego, o którym mało dziś kto pamięta, a współczesne publikacje akademickie (!) nawet przekręcają jego nazwisko i piszą „Konieczny”. To analizy innego polskiego badacza – Ludwika Flecka – autora pojęć „style myślowe” i „kolektywy myślowe” uitorowały drogę Thomasowi Kuhnowi do jego słynnej koncepcji paradygmatów naukowych. W dzisiejszej antropologii coraz większą popularność zdobywa interpretacja zakazu kazirodztwa, którą zaproponował nie Levi-Strauss, ale – dużo wcześniej i dużo zasadniej – Ludwik Krzywicki. Jak podkreśla Mariam Slater, amerykańska antropolog, to nie kulturowe wyjaśnienie Levi-Straussa, ale demograficzno-materialistyczne, oparte na zasadzie różnorodności Krzywickiego uitorowało drogę do tak ważnego dziś zainteresowanie „zdarzeniami małolicznymi”, np. w teorii dryfu genetycznego, która zdaje się wypierać z uprzywilejowanej dotąd pozycji teorii doboru naturalnego (Kurczewski 2004). A czyje nazwisko spotykamy na pierwszych stronach pracy Jean-Claude’a Kaufmanna *Ego. Socjologia jednostki* (2004), książki która otwiera nowe perspektywy w myśleniu o relacjach jednostki i społeczeństwa? Nazwisko badacza prawie nieznanego – o czym

pisze Kaufmann – po którym we francuskich bibliotekach pozostało kilka pożółkłych egzemplarzy tekstu, szczęśliwie przelożonego kiedyś na francuski, ale dziś zapomnianego tak jak ich autor – Edward Abramowski. Doprawdy, czy musimy dopiero z zagranicznych publikacji dowiadywać się, jakich to wspaniałych i inspirujących najnowsza myśl socjologiczną autorów mieliśmy kiedyś? Czemu nie potrafimy sami sięgnąć do ich prac, których w polskich bibliotekach przecież nie brakuje? W dodatku są po polsku. Gdybyśmy systematycznie wykonywali tę pracę, może to polska nauka przodowałaby dziś w świecie, a nie amerykańska czy francuska, korzystające z polskiego dorobku.

Pora kończyć, więc przyjmijcie Państwo te trzy rady, którymi opatruję Was na najbliższe lata. Wykorzystujcie jak najlepiej (i jak najprzyjemniej) ten „czas wolny”, pamiętajcie, że zasługujecie na uniwersytet z prawdziwego zdarzenia i sięgajcie do dorobku polskiej socjologii, nie czekając, aż zrobią to za was inni i przekują we własny sukces. Z pewnością takie nastawienie wyjdzie na dobre i polskiej socjologii, i polskiemu społeczeństwu, i polskim socjologom, czyli Wam. Bo, jak pisał Stanisław Brzozowski, w nauce nic nie zdziała umysł płytki, to jest taki, który ze swą narodową rzeczywistością nie jest związany, bo niezależni od narodu mogą być tylko ludzie niecalkowici (1990: 268). Czego Wam oczywiście nie życzę. A skoro wiecie już, czego Wam nie życzę, domyślacie się, czego Wam życzę.

Bibliografia:

/// Bourdieu P. 1984. *Homo Academicus*, Les Éditions de Minuit.

/// Brzozowski S. 1990. *Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej*, Wydawnictwo Literackie.

/// Bujak F. 1976. *Nauka a społeczeństwo*, [w:] tegoż, *Wybór pism*, t. I, red. H. Madurowicz-Urbańska, PWN, s. 219–232.

/// Bystron J.S. 1995. *Rozwój problemu socjologicznego w nauce polskiej*, [w:] *Sto lat socjologii polskiej. Od Supińskiego do Szczygalskiego. Wybór tekstów*, red. J. Szacki, Wydawnictwo Naukowe PWN.

/// Custine A. de 1995. *Rosja w roku 1839*, t. I, tłum. P. Hertz, PIW.

/// Furedi F. 2008. *Gdzie się podzieliłi wszyscy intelektualisci?*, tłum. K. Makaruk, PIW.

/// Kaufmann J.-C. 2004. *Ego. Socjologia jednostki*, tłum. K. Wakar, Oficyna Naukowa.

/// Krimsky S. 2006. *Nauka skorumpowana? O niejasnych związkach nauki i biznesu*, tłum. B. Biały, PIW.

/// Kurczewski J. 2012. *Antropologia Ludwika Krzywickiego*, [w:] *Wizjoner i realista. Szkice o Ludwiku Krzywickim*, red. J. Hryniewicz, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

/// Mills C.W. 2007. *Wzobrażenia socjologiczne*, tłum. M. Bucholc, Wydawnictwo Naukowe PWN.

/// Ortega y Gasset J. 2008. *Medytacje o „Don Kichocie”*, tłum. J. Wojcieszak, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA.

/// Scruton R. 2011. *Piję, więc jestem. Przewodnik filozofa po winach*, tłum. M. Szczubiałka, Wydawnictwo Aletheia.

/// Silver B. 2009. *Globalny proletariat. Ruchy pracownicze i globalizacja po 1870 r.*, tłum. M. Starnawski, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa.

/// Zablocki G. 2014. *Od „światowej socjologii wsi” do polityki wobec nauk społecznych i humanistycznych*, „Wiś i Rolnictwo”, nr 1, s. 185–195.

/// **Abstrakt**

Tekst wykładu inauguracyjnego zawiera refleksje nad ideą uniwersytetu, powinnościami profesorów i prawami studentów oraz słowa krytyki pod adresem aktualnej kondycji uczelni podporządkowanych biurokracji.

Słowa kluczowe:

idea uniwersytetu, misja profesora, szkoła jako czas wolny

/// **Abstract**

Text of inauguration lecture contains some reflections about the idea of university, duties of professors and students' rights as well some words

of critique at the address of current universities condition which are subordinate to bureaucracy.

Keywords:

idea of university, professor's mission, school as free time